

# ROMANS I POWIEŚĆ

Rok XVIII.

Warszawa, dnia 27 marca 1926 roku.

Nr. 13.

ALEKSANDER ALFRED KONAR.

POWIEŚĆ Z CZASÓW PRZEDWOJENNYCH

13)

## BEZ SERCA.

I pani Hela z Jankiem powtarzała wciąż wkołko te same błahości, że, jaka szkoda, że Warszawa takich tyrolczyków nigdy nie słyszała. Jak dobrze świadczą o umuzykalnieniu i o miejscowej kulturze podobne pieśni ludowe, tak wykonywane.

— Mogliby jednak lepiej wentylować tę halę; a ci sławni ich kelnerzy wcale nie są lepsi od warszawskich.

— Tylko publiczność jest tu wyrozumialsza.

Mówili to wszystko jedynie dlatego, aby zagłuszyć tę niemą pieśń, jaka pomiędzy nimi się rozgrywała.

Janek począł mówić jej o sobie: Jest najstarszym w dość licznej rodzinie. Rodzice jego mieszkają w Kaliszu we własnym domu, który im niewiele przynosi, tak że przy znacznych kosztach kształcenia dzieci dość trudno im wiązać koniec z końcem. Rzecz prosta, że on rodzicom pomagać nie może, choć naturalnie i od nich niczego by nie przyjął. Najwidoczniej dość chętnie lubił mówić o sobie.

— Królewicz z nadalpejskich mgieł i obłoków. — ironizowały jej myśli. — to poprostu mały warszawski urzędniczek, pochodzeniem z Radomia, czy też z Kalisza. O! bogowie!

— Wolę już — pogodziła się — że szczerzej i naiwniej przyznał się do tego Radomia, czyli Kalisza, niż ci wszyscy inni, którzy nie pochodzą nigdy z Kalisza, ani z Radomia, jeno „z Kaliskiego i z Radomskiego“.

Aby coś powiedzieć, badała go, czy bracia dobrze się uczą i czy siostry są ładne i czy do niego podobne.

— O! — wyrwał się z naiwną dumą. — Jedna szczególnie znacznie ładniejsza odemnie.

— Jeszcze ładniejsza?

Roześmiał się filuternie, jak sztubak prosty, naiwny i uczciwy.

Wyjątkowo nie raziła jej ani jego prostota, ani fakt, że nie był najwidoczniej ani interesujący, ani kulturalny i że nawet w szkołach najprawdopodobniej nie zapracowywał się.

Lecz ten dzieciak (tak go w myślach przezwała) zupełnie nieświadomy co do tego, co się robi, a czego się nie robi, zupełnie nieodpowiedzialny za swoje czyny — stawał się już zbyt śmiały w swojej nieśmiałości. Mały stołek jego bez oparcia niewiadomo, jak i kiedy połączył się w jedno z jej krzesłem; a ona siedziała poprostu jakby w jego pałających objęciach.

Spojrzała mimowoli w jego duże jasne oczy. Gorzały, jak w ogniu. Młodzieńcza twarz w zarumienieniu przybrała odcień brzoskwini; uszy ziały płomieniem rubinów. A mocne szczęki — znać było, że się

poruszały. Spojrzała w lusterko, umieszczone w krokodylowej wiedeńskiej torebce: Co to? i jej twarz świeciła niedyskretnie tym samym ogniem, co i jego?

— Nie. To nie ma żadnego sensu — oskarżała samą siebie. — Małe dziecko mogło poznać się na tej niedyskretniej anormalności stanu ich uczuć. Powstała z ostatnią decyzją z miejsca:

— Nie doczekamy się kelnera. Zapłacimy w bufecie. Najwyższy już dla mnie czas — spojrzała na zegarek. — Czy pan wie, że już blisko północ? — zwróciła się do swego towarzysza i w myślach dokończyła:

— Pomyśleć, że poznałam go zaledwie przed dwiema godzinami. To jest horrendum.

Z wielkim wysiłkiem wydostali się wreszcie ze ścisku knajpy.

Na ulicy nieoczekiwanie przekonali się, że deszcz lał, jak z cebra. Jakiś dziwny spokojny ulewny deszcz, bez huku piorunów, bez iskier i błyskawic, uparcie monotony i niezmierny. Do Szwajczerhofu był spory kawał drogi. O dorożce, których w Lucernie, jak na lekarstwo — nie mogło być mowy. Przytem latarnie gasi cnotliwa, oszczędna Szwajcarja bardzo wcześnie, a pani Hela wśród ciemni stawała się prawie niewidomą.

— Pani pozwoli, że ją odprowadzę do domu?

— Proszę — zgodziła się z musu, nie solidaryzując od kilku godzin z całym swoim postępowaniem.

Lecz Janek cudem posiadał parasol. Pani Hela broniła się od jego propozycji korzystania z jego parasola, lecz tak słabo, jak godziła się dziś na wszystko. Przyjęła więc i jego ramię dla wspólnego korzystania z ochrony parasola, ponieważ szkoda było jej wiedeńskiego kapelusza od Szpitzlera, a Janek bez paltota byłby zmókł do nitki.

Choć przekonała się teraz, że Janek nadużywał teraz władzy tego wspólnego parasola, któremu zawdzięcza ocalenie jej nowiotki czarny Gainsborough z wielkimi piórami. Bo maleńką obnażoną z rękawiczki alabastrową rączką, trzymającą pozłacaną gałkę parasola — więził w uścisku swojej rozżarzonej dłoni, silnej, a tak miękkiej i delikatnej, jakgdyby nigdy nie rozstawał się z rękawiczkami, powtarzając urywanym ze wzruszenia głosem wciąż te same banalności, że leje, jak z cebra, że ciemno jest, jak w ulu, że niema ani jednej gwiazdy na niebie.

— Niebo nie różni się niczem od jeziora. Prawda? — zapytał nachylając swoją głowę (był nieco wyższy od niej) do jej twarzy tak blisko, że musnął ją prawie swoim małym jedwabistym wąsikiem.

— Gdybyż choć Lucerna nie żałowała latarni elektrycznych! — omdlewała prawie pod żarem przylepionego do jej boku mężczyzny, słaniając się wśród nieprzejrzystej ciemni bezgwiazdnej nocy tuż nad odgadywanem raczej, niż widzianem czarnem jeziorem, oprawnem w ramy górskich szczytów, pokrytych nieprzejrzystą czarną gazą.

I Janek rozkoszował się tą drogą nad samem czarnem jeziorem wśród nieprzejrzystej bezgwiazdnej nocy i tym niepewnym krokiem swojej towarzyszki, która dzięki swemu słabemu wzrokowi — oddawała się pod jego władzę na łaskę i niełaskę.

— Niech pani się nie obawia — roztkliwił się nad strwożoną, podtrzymując ją prawie, jak w objęciu — przekonany, że jeszcze nigdy w życiu dotąd nie czuł się tak szczęśliwym. — Parasol mój jednak przydał się dziś.

— Nie wiem, co bym bez niego uczyniła — walcowali w kółko, aby szablonem zakrzywić ciszę, nastrojoną na huczącą melodię bez słów z zupełnie innym librettem, w zupełnie innej tonacji.

Chodziło im jedynie, aby rozmowa ani na sekundę nie przerywała się, ponieważ cisza niedyskretnym krzykiem konstatowała by ich drugą wymowniejszą, niemą rozmowę. A nie wypadało przecież w pierwszy dzień poznania wyznać jej to, co w duszy jego huczało i podłożyć pod tę niemą modlitwę słowa prosto z mostu:

— Jak ja mogłem żyć dotąd bez pani? Przecież to nie było żadne życie...

To niemożliwe — huczało mu w mózgu — abyśmy się tu dopiero dziś przypadkiem poznali. I czy mogłem marzyć, abym właśnie tu w Lucernie ja mały urzędniczyna odprowadzał tę wielką damę do domu, pod jednym parasolem, prawie ręka w rękę? Można oszaleć. To Bóg mi ją tu zesłał, jako stworzeni jedno dla drugiego. I nic nas już nie rozłączy. Prawda? — przycisnął ją jeszcze silniej do swego ramienia i garbiąc się tuż ponad jej twarzą, muskał ją swoim wąsem i oddechem.

— Nie. Stanowczo. Ten pazik staje się już zbyt śmiałym wobec swojej królowej, — broniła się już zupełnie bezsilnie.

Owionięci ciemnotą nocy, smagani deszczem, z zatraconą indywidualnością, bez nazwiska, bez stempla hierarchicznego, bez klauzul moralności i tego, co wypada, lub niewypada — sunęli prawie nieprzytomni wciąż naprzód z jednym poczuciem, wspólnem wszystkim dzieciom z jednego wspólnego Ojca Boga, wszystkim braciom z nieba, ziemi, oceanów i powietrza, a więc ludziom i kwiatom i gwiazdom i ptactwu, wszystkim atomom wszechświata, łaknącym bezmyślnie rozkoszy dalszego istnienia.

— Czy pani nie zimno? — zatroskał się z uległością samczą.

— Nie. Zdaje się, że to już niedaleko hotelu.

— Niestety, niedaleko już.

— Niestety? Rzeczywiście! — ratowała nawiąknęliwie nieszczęrą konwencjonalnością tytaniczne przeżycia tej drogi — śliczny czas do spaceru! Winszuję dobrego gustu.

— Burze, błyskawice i pioruny, czy też słońce, lato, czy zima — czy to nie wszystko jedno, kiedy człowieka rozpierają uczucia, wyrastające ponad życiowe drobiazgi! — odpowiadał jej w myślach.

— To już mój Szwajcercerhof. Nareszcie. Dziękuję za parasol — podała mu rękę, która utonęła w łazni jego dłoni — Żegnaj pana. — przycisnęła dzwonek elektryczny u drzwi schodowych.

— Kiedy bięda — to do żyda — wybuchnął bezmyślnie dziecięcym żalem — a po biędzie bądź zdrów żydzie. Bo czy pani wie gdzie ja mieszkam? Aż het daleko za dworcem kolejowym — łasił się z dziecięcą natarczywością, jak gdyby rozumiał, że jego nieśmiałość graniczy z czelnością.

— Wobec tego, że spacer ten wydawał się panu zbyt krótkim... Zresztą deszcz przestaje padać. Nieba są łaskawsze dla pana, niż dla mnie.

— Pani żartuje sobie ze mnie — żalił się głosem, napęczniałym od najszczerzego bólu na myśl rozstania.

— Żałuję bardzo, że nie mogę panu zaproponować filiżanki herbaty na rozgrzanie, lecz faktycznie pora już zbyt spóźniona. Ale bardzo proszę przyjść do mnie jutro o godzinie 5-ej, zgoda? O ile pogoda nie poprawi się, będę czekała na pana z herbatą w hallu; w razie pogody zaś na tarasie przy muzyce. Te nasze koncerty hotelowe, choć nie porównywałbym ich naturalnie z dzisiejszymi tyrolczykami — bywają wcale niezłe. Bo mój apartament prywatny, a ściślej mówiąc, mój pokój w Dépendance hotelu, jedyny, jaki cudem zdobyłam — jest okropny. Tak zwany pompatycznie pawilon — to zdaje się przebudowana stara altana, składająca się z jednego parterowego pokoju, bez wanny i bez przedpokoju, zajmowana podobno przedtem przez szwajcara. Horrendum. A zatem dowidzenia do jutra. Dziękuję — zniknęła za otworzonemi przez szwajcara drzwiami, które zatrzaskały się z brutalnym łoskotem, wstrząsając przeczuloną dziś duszą Janka, sprowadzoną z nadziemskich upojen do kontaktu z zaporami więziennych przeszkód ziemi.

## VI.

Kiedy nazajutrz pani Hela w prześlicznym kostjumie trotteur nalewała herbatę Jankowi, onieśmionemu wytwornością, z jaką czyniła honory gospodyni domu — damy z monde'u galicyjskiego i z Ukrainy, usadowione u sąsiedniego stolika, zadecydowały z jadem:

— Patrzcie, ta szykowna warszawianka wynalazła już sobie flircik.

— Może przestanie wreszcie ziewać całemi dniami.

— Dał na siebie dość długo czekać.

— I skąd ona go sobie wytrzasnęła? — zaciekawiała się utleniona rubensowska hrabina — Bo wiecie — obrzuciła go wymownem doświadczeniem spojrzaniem — to jest bardzo przystojny chłopiec. Bardzo obiecujący. Słowo daję. Lubię takie usta i taki podbródek. Jest bardzo dobrze zbudowany.

— Oui. Mais ce n'est pas un monsieur — nie odejmowała od oczu swego złotego face à main druga hrabina.

— A cóż to ona z Montmorancych pochodzi? Suknie od Hersego może kupić sobie każda z ulicy. A trzeba im to przyznać, że wszystkie prawie bez wyjątku warszawianki są szykowne.

Wiatr zganiał ad acta resztki chmur z nieba, oczyszczony mgławicami do niebieskości, jeszcze bardziej niepokalanej, niż przed kilkodniową ulewą. Wymyte, wyczyszczone woniało, jak świeżo uprana bielizna; a Rygi, Pilatus, lodowce Uri i Engelborga, pozbywszy się szarych pokrowców, gorzały srebrem swoich śnieżnych szczytów, utkanych brylantowemi blaskami słońca, jak otwarta na święta szkatuła przechowywanych na codzień bezcennych skarbów. Bo natura szwajcarska lubuje się w porządku tak, jak jej mieszkańcy.

(D. c. n.).

## Z Ł O T N I K.

3)

Był smutny i przybity, jakby ciężarem nieszczęścia, które schodziło nań niby zawała ciężkich chmur, niosących burzę. Otwierając okiennicę, myślał w przygnębieniu, że właściwie nie warto żyć; nie warto męczyć się codzienną szarą pracą, bo dla kogo i na co? Ciasna, mała pracownia wydała mu się więzieniem, a on sam nędznym, nikomu niepotrzebnym stworzeniem. Gdzieś, na dnie duszy, przeklinał swój ukochany zawód cyzelarski. Zwidziało mu się nagle, że kiedy z tego oto sklepiku będą wywozić go na cmentarz, ledwie kilku przechodniów obejrzy się za smutnym, samotnie idącym wozem.

Zasiadł do pracy z głową niżej niż zwykle pochyloną, dając ujście myślom smutnym, co tłoczyły się uparcie. Złoto, które rzeźbiły jego palce, nie miało dlań żadnej wartości. O jakiejś godzinie wyjął z szuflady ukończony pierścionek z rubinkiem, ona kropłą krwi serdecznej, którą w ciepłej muszli swojej dłoni przyniosła ta, co nie wróciła. Nieoczekiwanie, uspokoił się i stał się wesołym. Przecież musi wrócić po pierścionek, po kamuszek czerwony, by go na palec nasunąć i odejść z kropłą krwi kamiennego cadu. I prawie się nie zdziwił, ani nawet zbyt wzruszył, gdy drzwi od ulicy otworzyły się lekko i stanęła w nich właścicielka rubinu.

Długą chwilę znów tylko patrzył na nią. Przez pryzmat świadomości oddanego na zawsze serca, widział jasną twarz, smukłą ciemną postać i wiśniowe usta. Wyraźnie przejrzał rumieniec, który podobnie jak wtedy zalał jej twarz i szyję. Ogarnięty bezsprzeczną wiedzą tego, co się działo, spokojnie odjął swe oczy od twarzy nieznajomej i szukać ją pierścionka w szufladzie.

— Spóźniłam się, — zaczęła mówić, — pan już myślał, że nie przyjdę...

— Nie pani! Wierzyłem, że pani wróci.

— Mam jeszcze jedną małą robotę — zaczęła znów po chwili, i z kieszeni wydobyła złamaną, starą koralową broszkę.

Obejrzał i położył na swym pracowniczym stole, a gdy zabierała się do odejścia, zapytał:

— Czy daleko pani mieszka?

— Za rzeką na Zalesnej. A czemu?

— Myślałem... że jabyłem mógł odnieść broszkę...

— Dziękuję... przyjdę sama... Muszę pojutrze być w mieście, dowidzenia... i już jej nie było.

Dziś wahał się iść za nią. Bał się, że nie potrafi obojętnie patrzeć na jej nienaturalną postać. Bał się, że skoczy, dogoni, padnie do nóg na ulicy. Zacisnął pięści, zagryzł usta i zasiadł do warsztatu.

Tu, w pracowni, wcześniej było ciemno, niż na ulicy. Nieprzychylna, nieswojska ciemność kładła się prędko i nieomylnie na wieczne szare sprzęty pracowni. Wreszcie i jego jasną głowę objęła. Zasunął okienko i rzucił się na łóżko.

Nazajutrz był odpust w klasztorze. Hilary pierwszy raz od bardzo dawna poszedł do starego kościoła na uroczyste nabożeństwo. Pamiętał dobrze te czasy odległego dzieciństwa, gdy go tu co niedzielę i święto prowadziła matka, a potem ojciec. Później z biegiem lat zobojętniała mu dusza: patrzył często na fale śpieszących w otwarte na oścież bramy kościoła. Do mieszkania dochodziły poważne dźwięki organów

i śpiewy, ale sam nie uczuwał potrzeby modlitwy. Choć wiara tliła się w nim jeszcze, oddalił się od praktyk religijnych. Lubił tylko w niedzielę słuchać, jak podczas błogosławieństwa śpiewały młodociane chóry. Z tych modłów schodził na świat wielki spokój. Dziś wparło go coś w tłum. Hilary słuchał, jak wniebowzięty, a serce przepęłniała mu taka wdzięczność, że kochał cały świat: i ten tłum rozkołysany śpiewem, i księdza, co w szatach pontyfikalnych spełniał tajemniczy obrzęd, zawsze taki sam, niezmienny, dogmatyczny, przez tysiące pokoleń ukochany.

Wraz z tłumem wyszedł z świątyni. Jął iść w górę, ku ulicy Zalesnej. Myślał teraz o lasach, po których nie zostało już innego wspomnienia, jak nazwa ulicy. Nigdy nie był na tej podmiejskiej ulicy, zabudowanej lichy, bez miary i planu. Oczy duszy jednak zdawały się być od wieków znajome z temi zaułkami, krzywymi ścieżkami, dziwnie zamyślonemi twarzami małych domków, od których wiało nie ciepło domowego ogniska lecz tępa obojętność. Zdawały się mówić: obceśmy temu, co piękne i obca nam tęsknota za pięknem, skoro żaden kwiat nie zdobi naszych progów. A jednak bogateśmy w to, co się w nas odbywa. Ludzkie ogniska tu płoną i kominami pnie się ku górze dym żyjącego ognia.

Przy każdym domku pytał w niemej obawie: Czy to już tu. Czy za tą ścianą tak szarą, brudną i obdrapaną przebywa ona, jasnowłosa i niebieskooka? A gdy nie otrzymywał odpowiedzi, szedł dalej z ulgą, że to nie tutaj. Aż wreszcie na progu poprzecznej ulicy, ujrzał domostwo niewielkie, lecz schludne, o poszarzałym dachu, o kilku oknach dużych zawieszonych koronką. Przed domkiem rosły kwiaty, przy małym ganeczku stała ławka, a na niej siedział stary człowiek.

Hilary przeczuł natychmiast, że to jej dom. Był tego absolutnie pewny, może przez drżenie, które go chwyciło od stóp do głowy, gdy się zbliżał, a dusza wysyłać zaczęła ku tym jasnym oknom pozdrowienia ciche i wyznania. Dom ten wydał mu się jako coś bardzo drogiego od dawna... od zawsze. Patrzył nań, jak na dobrego przyjaciela, spotkanego po długich latach. Oto jesteś, na którego czekałem!

Gdy, nieśmiały, przechodził мимо, pozdrowił go stary człowiek, siedzący na ławce, Hilary ujrzał twarz jakby z jej twarzy zrobioną, tylko pooraną bruzdami nad siwiejącą brodą. Te same niebieskie oczy patrzyły nań. Hilary wiedział, że stoi przed jej ojcem. Przystanął, zdjął pokornie kapelusz i odpowiedział na pozdrowienie. Ale inne słowa płynęły mu z duszy, niż te, które mówiły usta.

Starzec patrzył nań dobrymi oczami. Nagle rozwarły się drzwi na ganek idące i wybiegła ona sama, z odkrytą głową, cała w bieli, a za nią mężczyzna, już niemłody, również w odświętnym ubraniu. Ujrzała Hilarego, na mgnienie oka przystanąła i poraz trzeci ten sam rumieniec oblał jej twarz i szyję. Skinęła głową, nagle zgasła jej twarz i szybko, gwałtownie pociągnęła za sobą towarzysza i zniknęła za drzwiami.

Jedna ta chwila wystarczyła, by Hilaremu zamącić duszę zrozumieniem tego, co się tutaj stało. Ta biel, to był ślubny strój!

Poszedł dalej, nic już nie widząc. Brnął po jakichś ulicach, między domami, wyszedł za miasto i po długim czasie dopiero, nagle zdał sobie sprawę, że mu ciężko iść. Był na olbrzymim, świeżo zoranym polu. Wieczór był i ukośne tuż nad ziemią, z za pagórka idące promienie złociły przed nim pole i wydzierając mu z pod nóg jego własny cień, wlokły go za nim, łamiąc na czarnych skibach. Ziemia tłusta i urodzajna, błyszcząca na ukosach, wywróconych ostrym lemieszem. Gdzieś chodzą wrony poważnym krokiem, a daleko przed nim, w morzu złotych promieni odchodzącego słońca, szły cztery, jeden za drugim pługi, z niezamąconym spokojem, orząc czarne łono płodnej ziemi na siew.

I jakby objawił się Hilaremu, w tym niezwykłym dla miejskich oczu widoku jego własny los: oto odchodzi słońce, a pług iść musi... skończy jedno, zacznie drugie, nigdy nie przestanie!

Patrzył na cudowną linię powolnych zaprzęgów, na łuk wygiętych w potężnym wysiłku pleców końskich, na sylwetkę postępujących za pługami ludzi, kierujących wprawna ręką błyszczący lemiesz, by wraz równo pruł zagon ziemi i wykładał go niezmiennie tak samo na leżące poprzednie szeregi. Po chwili słońce zaszło za wzgórze, odjęło złocistą swą poświatę i wszystko zaczęło się w szarość zawijać.

Hilary zawrócił, i wśród krakania odlatujących wron, iść począł ku miastu. Było mu tak, jakgdyby odjęto mu młodość i możność radości. Nie było dlań nadziei!

Nazajutrz bał się jej przybycia, a jednocześnie modlił się o nie. Musi mieć pewność... musi raz jeszcze

oczy nasycić. Przymusił się do pracy. Gdy weszła, nie zerwał się, nie podniósł natychmiast oczu. Całą mocą trzymał się, by nie cisnąć się do jej stóp.

Potem wznosił oczy. Twarz jej była bardzo blada, jakby ściągnięta, oczy czerwonymi obwódkami obwiedzione. Obraz niemłodego mężczyzny stanął mu z rozpaczliwą prawdą przed oczyma. Ale na tym jej płaczu nie budował nic; od wczoraj, przez tych kilkanaście godzin, zamknął w odgradzonej na zawsze skrytce swoje marzenia, swoje mrzonki o szczęściu.

Zapytał cicho: — Pani płakała?... Czemu? Nie odrzekła nic. Odwróciła głowę i zobaczył, że płacze za dłonią, którą podniosła do ust. Wszystko, co byłby mógł powiedzieć, gdyby to było wczoraj rano, leżało w nim zamarte. Na palcu serdecznym, obok pierścionka z rubinkiem, który on jej z taką pieczołowitością wyrobił, miała dziś nałożony drugi, gładki złoty: obrączkę ślubną!

Gdy się uspokoiła i odjęła ręce od twarzy, przechylił się przez stół i w milczeniu wskazał ów pierścień nowy na palcu. Natenczas cicho wyrzekła.

— Mój ślub odbył się wczoraj.

Potem wyszła, on stał długo na tem samym miejscu, jak skamieniały. Łzy jedna za drugą płynąć poczęły z oczu.

Mijały lata za latami, a w sklepiku nad coraz rojniejszą ulicą nie zmieniało się nic. Tylko postać młodzieńca grzybiała coraz bardziej. Włosy przyprószała siwizna, a trzos nadaremnie pęczniał w drugiej izdebce.

K O N I E C.

MARJA Z MORSTINÓW GÓRSKA.

## Noc w Wenecji.

Po wodach ciężkich, gęstych, czarnych  
snuje się łódź kołysząca —  
księżyc, jakgdyby tchem tej nocy parnej  
poupalany,  
leje się na nie i kapie  
jak świeca topniejąca —  
rząd innych gondol w mroku uwiązanych  
niepokoi się, chłapie i człapie —  
ciekną lamp strugi kolorowo  
pod dziwnych domów ściany —  
niebo nam płynie nad głową,  
tocząc pierzaste chmur piany...  
Posuwamy się dalej i dalej,  
gdzie już mniej światła się pali,  
gdzie tylko czasem rozbłyska  
rzeźba kamiennej bramy —  
jedziemy, kołyszymy się, wpływamy  
w głąb tego miasta-zjawiska,  
w tajemnicę, co jednej nocy wyrosła  
i więzi nas od tej chwili...  
Jużeśmy się w siebie wcałowali,  
jużeśmy dusze zamienili  
i teraz chcemy, czy nie chcemy  
miarowym, równym pluskiem wiosła  
płyniemy, płyniemy  
w labirynt, co się zwija, skręca, rozprzestrzenia,  
w coś, co miłością zwie się a miłość zabić może,  
co nocą jest a wielkim dniem rozgorze;  
w rozkosz o gorzkich głębinach cierpienia...

Dawniej przez świat płynęłam wiosłami mych pieśni,  
marząc, że go roztrącę, zamączę, zachwycę —  
dziś świat przezemnie płynie, we mnie się cieleśni  
i milcząco spoglądam w jasne tajemnice.

Lecz wiem, że w twojej miłości rosnę i dojrzewam,  
by opaść kiedyś z ziemi w zaświaty modrawe,  
jak jabłko oderwane w swym czasie od drzewa  
czerwono - złote toczy się w zieloną trawę.

## Miasto gdy ciebie niema.

Miasto puste, zszarzałe, zciszone w zamglonym żarze,  
gorąco, duszność sucha przy bezsłonecznym niebie,  
rzadkich przechodniów nudne i przygaszone twarze —  
miasto puste—niema, wiem, niema w niem teraz ciebie.

Kurz się w powietrze wznosi i bruk się w proch prze-  
[mienia —  
stare stróżki zgarbione, smutne, z głową siwąwą  
zmiatają go z trotuarów na lewo i na prawo —  
złe więdźmy rozmiatają z nich kroków twych wspo-  
[mnienia.

Twoja ulica — domy — niby te same domy,  
linje okien i dachów i bram z rzeźbionego kamienia,  
lecz dziś jak słowa mowy dalekiej, nieznanomej  
stały się nagle nieme, bez treści, bez znaczenia.

Nikogo się nie spotka, nie może się spotkać nikogo —  
wzrok nie tęskni, nie szuka, nie zadrży myśl ospała —  
miasto puste obcością tajemną i złowrogą,  
ciało martwe, z którego dusza już uleciała...